



POWIEŚĆ
AUTORKI BESTSELLERA
I ŻE CIĘ
NIE OPUSZCZĘ

MICHELLE RICHMOND

ROK WE MGLE

Ocena za trzymanie czytelnika w napięciu? Najwyższa z możliwych.

THE WASHINGTON POST



MICHELLE RICHMOND

ROK WE MGLE

TŁUMACZENIE KRZYSZTOF ULISZEWSKI



OTWARTE

KRAKÓW 2018

Tytuł oryginału: *The Year of Fog*

Copyright © 2007 by Michelle Richmond

All rights reserved

Copyright © for the translation by Krzysztof Uliszewski

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

ISBN 978-83-7515-540-2

Fotografia na okładce: © Amanda Voelker / Stocksy.com

Redakcja, adjustacja i łamanie w przygotowaniu.



OTWARTE

www.otwarte.eu

Michelle Richmond
Year of Fog
Rok we mgle
przekład: *Krzysztof Uliszewski*

Dla Bonnie i Johna

Aparaty fotograficzne z wizjerem wyposażone są w proste, plastikowe okienko, nie posiadające systemu regulacji ostrości. Wizjer umieszczony jest tuż nad lub obok soczewki i pokazuje przybliżony obraz tego, co znajdzie się na zdjęciu (choć z względu na zjawisko paralaksy i związane z tym problemy, występują różnice między tym, co widzi oko przez wizjer, a faktycznym obrazem, zarejestrowanym przez obiektyw.)

– Henry Horenstein, „Fotografia czarno-biała: podstawy”

Światło pamięci, czy też raczej światło, którego pamięć używa przedmiotom, jest najbledszym ze wszystkich światel...

– Eugene Ionesco, „Present Past, Past Present”

Oto cała prawda, wszystko, co wiem: spacerowałyśmy po Ocean Beach, trzymając się za ręce. Był chłodny, letni poranek, typowy dla lipcowych dni w San Francisco. Nad plażą i oceanem wisiała gęsta, biała mgła – tak gęsta, że widziałam tylko na metr przed sobą.

Emma szukała małży. Czasami morze tuzinami wyrzuca na brzeg, całe, olśniewająco białe, ale tamtego dnia plaża była jedynie zaśmiecona połamanymi. Emma czuła się zawiedziona. Jest dzieckiem, które woli świat w formie idealnej: małże muszą być całe, podręczniki szkolne w nienagannym stanie, włosy ojca schludnie przycięte i opadające zaraz nad kołnierzykiem.

Myślałam o włosach jej ojca, o miękkich, ciemnych kosmykach dotykających jego szyi. Nagle Emma pociągnęła mnie za rękę.

– Pospiesz się – powiedziała.

– Po co się spieszyć?

– Fale mogą je zmyć.

Mimo że szczęście nam jak dotąd nie dopisywało, Emma wciąż wierzyła, że na plaży czeka prawdziwy skarb nienaruszonych piaskowych dolarów, jak nazywa się ten rodzaj szkarłupni.

– Może zamiast tego pójdziemy do Louis's Diner? – spytałam. – Jestem głodna.

– A ja nie.

Spróbowała uwolnić palce i odsunąć się. Często myślałam, chociaż nigdy nie powiedziałam tego na głos, że ojciec ją rozpieszcza. Rozumiałam dlaczego: nie miała matki i próbował jej to zrekompensować.

– Puść – powiedziała, z zadziwiającą siłą wykręcając dłoń z mojego uścisku.

Pochyliłam się i spojrzałam jej w twarz. Zielone oczy patrzyły na mnie śmiało. Wiedziałam, że to ja jestem osobą dorosłą

i jestem większa, silniejsza i sprytniejsza, ale wiedziałam też, że to Emma wygra każdy sprawdzian silnej woli.

– Zostaniesz w pobliżu?

– Tak. – Uśmiechnęła się, wiedząc, że wygrała.

– Znajdź mi ładnego piaskowego dolara.

– Znajdę ci największego – powiedziała, szeroko rozkładając ręce.

Pobiegła naprzód w podskokach. Mała, sześciolatka tajemnica, cudowne, kobiece odwzorowanie własnego ojca. Nuciała pod nosem jakąś piosenkę, którą chwilę wcześniej słyszałyśmy w radiu. Patrząc na nią, poczułam nagły przypływ radości i strachu. Za trzy miesiące miałam wyjść za męża za jej ojca. Nie wytłumaczyliśmy jej jeszcze, że wprowadzę się na stałe, że będę robić śniadania, odprowadzać do szkoły, chodzić na baletowe występy, tak jak robiła to jej matka. Nie, tak jak to powinna była robić jej matka.

– Jesteś dobra dla Emmy – mawiał Jake. – Będziesz znacznie lepszą matką niż moja była żona.

A ja za każdym razem zadawałam sobie pytanie: Skąd wiesz? Dlaczego jesteś tego taki pewny? Obserwowałam Emmę spacerującą z żółtym wiaderkiem w dłoni, jej płócienne niebieskie buty, jej czarny kucyk podskakujący na wietrze, gdy w podskokach odbiegała ode mnie, i zastanawiałam się, jak mam to zrobić? Jak mogę stać się matką dla tej dziewczynki?

Podniosłam aparat do oczu, wiedząc, że kiedy pstryknie migawka – raz, lekko jak zabawka – Emma zostanie zredukowana do niewyraźnego, czarno-białego obrazu o rozmiarach sześć na sześć. Ruszała się zbyt szybko, a światło było zbyt słabe. Przekreśliłam gałkę, pstryknęłam, znowu podeszłam bliżej. Kiedy po raz ostatni przycisnęłam, Emmy już prawie nie było widać.

I właśnie wtedy popełniłam błąd, największy błąd. Każdy z nas podejmuje kiedyś decyzję, którą potem za wszelką cenę najchętniej by zmienił. Właśnie taka była tamta decyzja: zwrócenie uwagi na jakiś kształt na piasku. Z początku myślałam, że to koszulka dziecka, być może maleńki kocyk. Instynktownie podniosłam aparat do oka – w końcu tak zarabiam na życie, robiąc zdjęcia, rejestrując to, co widzę. Kiedy podeszłam bliżej, w polu widzenia pojawiła się puchata głowa, grzbiet i czarne plamy na białej sierści. Mała foczka obsypana była piaskiem, jej głowa przekręcona w moją stronę, a pletwy leżały spokojnie po obu stronach ciała.

Przykucnęłam, wyciągnęłam rękę, by jej dotknąć, ale coś mnie zatrzymało. Otwarte, wilgotne czarne oczy nie mrugały, postrzępione wąsy rozkładały się wachlarzem, a długie rzęsy poruszały się na wietrze. Wtedy zobaczyłam długą ciętą ranę wzdłuż jej brzucha i poczułam w sobie jakąś macierzyńską chęć działania. Jak długo przyglądałam się foczce – trzydzieści sekund? Minutę? Dłużej?

Małutki krab przebiegł po piasku niedaleko mojego dużego palca, a jego widok przypomniał mi te miniaturowe stworzenia, którymi zasłana była plaża w Gulf Shores, kiedy byłam dzieckiem. Moja siostra Annabel chwytiała je w słoje i przyglądała się ich różowym podbrzuszom, gdy próbowały wydostać się na wolność, stukając nóżkami o szkło. Krab wykopał norkę w piasku i zniknął; minęło najwyżej kolejne dziesięć sekund.

Spojrzałam na wschód, w stronę parku, gdzie nagle kończyła się mgła, a zaczynała ściana błękitu. Jako przybysz ze słonecznego i dusznego południa, pokochałam tutejszą mgłę, jej dramatyczną obecność, sposób, w jaki tłumi dźwięki. To, że po prostu się kończy, a nie stopniowo zanika - nieprzezroczysta biel nagle zmienia się w przejrzystość. Wychodząc z mgły na słońce,

człowiek może odnieść wrażenie, że właśnie skądś się wydostał. Natomiast podróż w drugą stronę jest jak zagłębianie się w tajemniczą, bajkową otchłań.

Tuż za plażą, Wielką Autostradą na południe w stronę miasta Pacifica, jechał karawan, a za nim długi sznur samochodów. Przypomniał mi się ostatni pogrzeb, na którym byłam - zdrowy facet po dwudziestce złamał kark podczas górskiej wspinaczki. Był kolegą kolegi, nie znałam go zbyt dobrze, ale ponieważ rozmawiałam z nim na przyjęciu dwa tygodnie przed wypadkiem, wydawało mi się, że wypada pójść na pogrzeb. To wspomnienie zabrało kolejne pięć sekund.

Spojrzałam w dal, gdzie powinna znajdować się Emma, ale nie zobaczyłam jej, więc ruszyłam w tamtą stronę. Wszystko było nasycone chłodną bielą, a dystans niemożliwy do oszacowania. Ścisnęłam w dłoniach aparat fotograficzny, wyobrażając sobie wspaniałe zdjęcia, które za chwilę zrobię - głęboką czerń włosów Emmy na tle zimnej, białej plaży.

Nie mogłam przestać myśleć o martwej foczce, o tym, jak wytłumaczę to Emmie. Wierzyłam, że było to coś, co matki wiedziały instynktownie. To miał być swego rodzaju test, jeden z wielu; akurat w tym momencie nie myślałam tylko o Emmie. Przyspieszyłam, chcąc sprawdzić, czy widziała fokę i nawet chciałam, żeby przestraszyła się, bo mogłabym delikatnie wejść w rolę macochy.

Nie wiem, kiedy zdałam sobie sprawę, że coś jest nie tak. Szłam coraz dalej, ale wciąż nie widziałam Emmy. Wyciągnęłam ręce przed siebie, choć wiedziałam, że to absurdalny gest, że w ten sposób nie można rozproszyć mgły.

– Emma! – zawołałam.

Panika ogarnęła mnie nie od razu. Nie, na to potrzeba było jeszcze kilku sekund, prawie całej minuty. Początkowo było to tylko uczucie jakby ześlizgiwania się, utraty gruntu, tak jak w dzieciństwie, kiedy stojąc po kolana w ciepłej wodzie Zatoki

Meksykańskiej i zamykając oczy przed gorącym słońcem Alabamy, pozwalałam falom wymywać piasek spod stóp. Najpierw zniknął piasek spod pięt, potem spod podbicia, wreszcie spod palców i w końcu traciłam równowagę i przewracałam się twarzą w morską pianę. Kiedy usta wypełniała słona woda, otwierałam oczy na jasny, wirujący świat.

– Emma!

Krzyknęłam głośniejsze, coraz bardziej czując falujący, niepewny piasek pod stopami. Pobiegłam naprzód, potem z powrotem po swoich śladach. Chowa się, pomyślałam. Kilka metrów od martwej foczki dostrzegłam betonowy falochron pokryty graffiti. W myślach ujrzałam ją tam, przykucniętą, chichoczącą, z wiaderkiem na kolanach. Wizja była tak wyraźna i tak prawdziwa, że prawie w nią uwierzyłam. Ale kiedy dotarłam do ściany i Emmy nie było, oparłam się, poczułam skurcz w żołądku i zwymiotowałam na piasek.

Z miejsca, w którym stałam, widziałam zarys budynku plażowych toalet. Biegając w ich stronę, czułam, jak ogarnia mnie strach. Już wiedziałam, że w moich poszukiwaniach zaszła jakaś zmiana. Przecięłam podwójną alejkę i sprawdziłam damską toaletę - była ciemna i pusta. Przeszłam na stronę męską. Przez matowe szkło w oknach wpadało przytłumione światło. Wsadziłam dłoń do kosza na śmieci, szukając jej ubrań, butów i na czworakach zajrzałam za pisuary, wstrzymując oddech w obronie przed smrodem. Nic.

Kiedy wracałam na plażę, zaczęłam się trząść. Moje palce były sztywne, a gardło suche. Wspięłam się na szczyt wydmy i obróciłam dookoła. Przez nieprzenikloną mgłę nie widziałam jednak nic, nie słyszałam nic oprócz cichego mrużenia samochodów. Przez moment stałam w bezruchu.

– Myśl – powiedziałam na głos. – Nie panikuj.

Na wprost tylko mgła, około kilometra plaży, potem wzgórze prowadzące do Cliff House, Camera Obscura, ruin łaźni

Sutro Baths i Louis's Diner. Na prawo długi chodnik, droga, a za nią park Golden Gate. Za mną kilometry plaży. Na lewo Pacyfik, szary i pieniaący się. Stałam w środku otoczonego mgłą labiryntu o niewidzialnych ścianach i myślałam: dziecko znika na plaży. Dokąd idzie?

Będę jeszcze wiele razy wracać do tego momentu. Będę prowadzić zeszyt, w którym zapiszę wszystkie szczegóły. Będą w nim kiepsko zrobione szkice, wykresy czasu i ruchu... strona po stronie będę próbowała odzyskać przeszłość. Będę udawała, że to wspomnienie jest rzetelne, że nie zaciera się tak szybko i nieodwracalnie jak nietrwałe linie na znikopisie. Będę sobie wmawiać, że gdzieś, schowany w zawiłym labiryncie mojego umysłu, znajduje się jakiś detal, jakaś wskazówka, jakaś mała rzecz, która zaprowadzi mnie do Emmy.

Później wszyscy będą chcieli znać dokładny moment, kiedy zauważyłam, że jej nie ma. Będą chcieli wiedzieć, czy widziałam kogoś dziwnego na plaży, czy słyszałam coś tuż przed lub tuż po momencie jej zniknięcia. Oni – policja, dziennikarze, jej ojciec – będą wciąż zadawać te same pytania, z uwagą wpatrując się w moje oczy, jakby to powtarzanie wystarczało, bym sobie coś przypomniała. Jakby siła woli miała stworzyć wskazówki, mimo że nigdzie nie było żadnych śladów.

To właśnie im mówię. Wszystko, co wiem: spacerowałam po plaży z Emmą. Było zimno i mgliście. Puściła moją dłoń. Zatrzymałam się, żeby zrobić zdjęcie martwej fokę, a potem spojrzałam na Wielką Autostradę. Kiedy się odwróciłam, już jej nie było.

Jedyną osobą, której opowiem całą tę historię, jest moja siostra Annabel. Tylko ona dowie się, że straciłam dziesięć sekund na kraba i pięć na kondukt żałobny. Że chciałam, by Emma zobaczyła martwą fokę, że w momencie, kiedy zniknęła, zastanawiałam się, jak sprawić, by mnie pokochała. Rozmawiając z innymi, będę uważnie dobierać słowa, oddzielając ważne szczegóły od złudnych, nic nieznaczących informacji. Im zaprezentuję tę wersję: jest sobie dziewczynka, ma na imię Emma, spaceruje po plaży. Patrzę w drugą stronę, mijają sekundy, a kiedy spoglądam z

powrotem, jej już nie ma.

Ta jedna chwila rozwija się jak kwiat w serii fotografii, jak zawiły labirynt. Stoję w jego centrum, niezdolna zobaczyć, które ścieżki prowadzą do ślepych zaułków, a która do zaginionego dziecka. Wiem, że muszę zaufać wspomnieniom, że mam tylko jedną szansę na trafny wybór.

Pierwsza historia, którą opowiadam, pierwsza odkryta wskazówka pokaże kierunek poszukiwań. Zły szczegół, zła wskazówka wprowadzi zamieszanie, właściwa doprowadzi do tego ślicznego dziecka. Czy powinnam powiedzieć policji o listonoszu na parkingu, o motocyklu, o mężczyźnie w pomarańczowym Chevellu, o żółtym wanie? Może to foka ma największe znaczenie albo karawan, falochron, fala? Jak odróżnić szczegół ważny od tych niezwiązanych ze sprawą? Jedna pomyłka w narracji, jeden błąd w wyborze szczegółów i wszystko się rozpada.

Pi razy promień do kwadratu równa się pole koła. Czas jest ciągłością, bez końca rozwijającą się w przód i w tył. Nauczyłam się tego w szkole.

W dziewiątej klasie liceum imienia Murphy'ego, doktor Thomas Swayze, wesoły, choć nieco tajemniczy, o którym krążyły plotki, że dostał swój doktorat pocztą, narysował na tablicy ogromne koło. Na zewnętrznej krawędzi i na linii prowadzącej od środka do brzegu koła naskrobał liczby i wzory. Jego biceps napiął się, naciągając białe rękaw koszulki.

– Promień, średnica, obwód – powiedział swoim radiowym głosem, wzbudzając we mnie młodzieńcze pożądanie. Odwrócił się do klasy, kręcił kredą to w jednej, to w drugiej dłoni i patrzył prosto na mnie.

Słońce wpadające przez długi rząd okien zmieniło miedziane włosy siedzącej przede mną dziewczyny w żywy płomień; pachniała jak owocowa guma do żucia. Moja dłoń leżała na ławce na płamie piekącego światła; dookoła paznokcia na kciuku miałam plamki krwi, ponieważ przygryzłam skórkę.

W głowie czułam nieustanne, doprowadzające do szału mruczenie. Doktor Swayze odwrócił się do tablicy, a jakiś przedmiot schowany w tylnej kieszeni jego niebieskich dżinsów odcisnął na tkaninie idealny, jasny okrąg.

– I największym z nich jest pole – powiedział.

– Moje kolana rozchyliły się i poczułam pot zbierający się pod udami na plastikowym krzeselku.

Lata wcześniej, Pani Monk, nauczycielka ucząca mnie w trzeciej klasie, ruszała wskazówkami ogromnego kartonowego zegara i wysławiała zalety czasu. Sekundy były ziarenkami piasku, minuty kamykami, godziny natomiast cegłami, z których zbudowana jest przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Mówiła o dniach i latach, dekadach, stuleciach. Mówiła o tysiącleciu, o

czasie, kiedy wszyscy będziemy już dorośli. Szeroko otworzyła swoje duże ramiona i wyszeptła słowo „wieczność”. W naszej niewielkiej klasie, z klimatyzacją umiarkowanie walczącą z kwietniowym gorącem, Pani Monk, nauczycielka rocznika 1977, głosiła swoje kazanie, lśniła i pociła się.

Siedziałam w drewnianej ławce, patrząc do góry na to wielkie koło z wiecznie uwięzionymi wskazówkami i zapłakałam. Podeszła do mnie i położyła ciepłe, wilgotne palce na mojej szyi.

– Co się stało, Abby? – zapytała.

Przytuliłam się do jej rozłożystej, matczynej talii, schowałam twarz w głębokich fałdach poliestru i wyznałam:

– Nie rozumiem czasu.

To nie sam zegar mnie tak zmieszał, nie „wpół do” i „za kwadrans”, „za pięć” i „dziesięć po”, ale raczej natura czasu. Nie mogłam znaleźć słów, by wytłumaczyć to Pani Monk.

Najbardziej niepokoiły mnie stracone chwile pomiędzy pójściem spać a pobudką, te mroczne godziny, kiedy mój umysł wyruszał w fantastyczne i okropne podróże. Wiedziałam, że czas jest miejscem, gdzie człowiek może się zgubić, gdzie szczęście i okropności mogły trwać w nieskończoność, chociaż - kiedy się obudziłam - matka wyglądała tak samo, siostra Annabel się nie postarzała, a ojciec wstawał, zakładał garnitur i szedł do pracy, jakby nic się nie wydarzyło. Wierzyłam, że żyję w świecie innym niż oni, a rodzina spała, kiedy ja podróżowałam. Czułam się za nich odpowiedzialna, jakbym została wybrana, by dźwigać na swych barkach brzemień za nich wszystkich.

Głos Pani Monk został w mojej pamięci i długo jeszcze, nawet wtedy gdy nauczyłam się odczytywać czas, miarowy, niemożliwy do zatrzymania rytm zegara wciąż mnie niepokoił. Siedząc na lekcji u doktora Swayze’ego i spoglądając na ciemny, chromowany zegar wiszący na ścianie nad tablicą, marzyłam, by istniała możliwość zatrzymania czasu, by dni trwały dłużej.

– Jak mierzymy pole koła? – zapytał doktor Swayze.

Wyobrażam sobie, że koło zaczyna się jako kosmiczna główka od szpilki, mała jak ciało dziecka. Dziecko stoi pochylone na plaży, wyciągając rękę po piaskowego dolara. Wysoka postać pojawia się we mgle, dłoń zaciska się na ustach dziecka, a silne ramię podnosi je do góry. Z każdym uczynionym przez nieznajomego krokiem koło się powiększa. Z każdą sekundą rośnie pole możliwości.

Gdzie jest dziecko? Odpowiedź leży w doprowadzającym do obłędu równaniu: π razy promień do kwadratu.

Pokój jest mały, z twardymi, plastikowymi krzesłami i betonową podłogą. Mozaika i ładna lampa w rogu zdają się do niego nie pasować, jakby umieściła je tam sekretarka albo troskliwa żona. Lampa cicho buczy, a we wnętrzu klosza trzepocze ćma. Słychać rytmiczne tykanie dużego, metalowego zegara. Jake siedzi w pokoju obok, za zamkniętymi drzwiami, podłączony do jakiegoś urządzenia. Poligraf zadaje mu pytania, sprawdza ciśnienie krwi, szukając ukrytego motywu, starannie zatuszowanego kłamstwa.

– Najpierw musimy wyeliminować rodzinę – mówił wczoraj inspektor Sherburne. – W dziewięciu przypadkach na dziesięć to albo ojciec, albo matka, albo oboje.

Mówiąc to, patrzył mi prosto w oczy i czekał, aż zadrzę. Nie zadrżałam.

– Nie jestem matką. Nie jestem nawet macochą. Matka trzy lata temu zostawiła rodzinę. Czy już jej szukacie?

– Musimy wziąć pod uwagę wszystkie możliwości.

Zegar tyka, pole poszukiwań poszerza się, ja czekam na swoją kolej. Na całym posterunku, pojedynczo i parami, kręcą się policjanci. Piją kawę ze styropianowych kubków, żartują między sobą. Jeden z nich opiera dłoń na pistolecie, delikatnie obejmując metal, jakby broń była częścią jego ciała.

Jeszcze wczoraj Jake był w Eurece, u znajomych, lecz kiedy usłyszał, co się stało, natychmiast wrócił do domu. Całą noc spędziliśmy na posterunku, wypełniając formularze, odpowiadając na pytania, rozpatrując każdy szczegół.

Teraz jest ósma rano, minęły już dwadzieścia dwie godziny. Siedzę i czekam. Kto jej szuka? Wiadomo przecież, że im więcej czasu minie od momentu zaginięcia dziecka, tym trudniej je znaleźć. Niebezpieczeństwo nasila się z minuty na minutę. Czas...

Najwspanialszy przyjaciel porywacza, najpotężniejszy wróg rodziny. Z każdą minutą porywacz oddala się w nieokreślonym kierunku, a pole poszukiwań i ilość możliwości rośnie.

Kiedy wczoraj po południu Sherburne przyjechał na plażę, mniej więcej dziesięć minut po pojawieniu się pierwszego wozu policyjnego, natychmiast przejął dowodzenie. Teraz pracuje przy swoim biurku, ubrany w jasnoniebieską koszulę i niespotykany, opalizujący krawat; pewnie dostał go w prezencie i nosi, bo tak wypada. Wyobrażam go sobie w domu, jak przygotowuje się do pracy. Widzę jego szczęśliwą żonę, dwójkę zadbanych dzieci. Jest w nim coś kojącego. Porusza się z jakimś staroświeckim wdziękiem i przypomina Franka Sinatrę z jego szerokim czołem, nieskazitelną fryzurą, głęboko osadzonymi niebieskimi oczami. Patrzę mu w oczy. Wykonuje gest dłonią, chce, żebym poczekała.

– Pięć minut – szepcze. Sięga po kawę, podnosi kubek do ust, łyka i odstawia na miejsce. Mija kolejne sześć sekund. Załóżmy, że Emma jest w samochodzie, który jedzie z prędkością 100 kilometrów na godzinę. W sześć sekund przejechałby 150 metrów. Podnieś do kwadratu i pomnoż przez pi. W czasie, kiedy pił łyk kawy, obszar poszukiwań poszerzył się o 75 000 tysięcy metrów kwadratowych. Jeżeli każdy łyk kawy to kolejne 75 000 kwadratowych, a w kubku jest sto łyków, to jak duży będzie obszar poszukiwań, kiedy skończy, i ile kubków kawy musi wypić, żeby rozszerzył się na całą kulę ziemską?

Zastanawiam się, jak mogą się poruszać. Czy porywacz wziął ją za rękę? A może podniósł? Jeżeli tak, to jak długie są jego kroki? Ile metrów przejdzie w ciągu minuty? Jak długo szedł? Ile kilometrów przejechał samochodem? Czy się szamotała, a jeśli tak, to czy dzięki temu opóźni jego odjazd? Czy porywacz nakarmi ją, kiedy będzie głodna? Wyobrażam sobie ciężarówkę zaparkowaną przy zapomnianej autostradzie. W przydrożnej knajpie siedzi jakiś podejrzany typ i dziewczynka. Jedzą śniadanie. Może chce zdobyć

jej zaufanie i próbuje przekupić ją naleśnikami z czekoladą i niezdrową ilością polewy, może nawet mlekiem czekoladowym. Czy Emma będzie jeść powoli, żeby zyskać na czasie? Dokładnie przeżuwasz każdy kęs, nie spiesz się – zaklinam telepatycznie – chcąc wierzyć, że Emma w jakiś niewytłumaczalny sposób mnie usłyszy. Przypomina mi się piosenka z kolonii w Północnej Karolinie, z czasów, kiedy byłam nieszczęśliwą członkinią zespołu „Dziewczyny w Akcji”: *Każdy kawałek pogryź dokładnie i sokiem popij....*

Nie mogą się przemieszczać, kiedy jedzą śniadanie, więc w tym czasie obszar się nie powiększa. Porwanie to nie jedyna możliwość. Policja już skłania się ku wersji, zgodnie z którą Emma utonęła.

Wczoraj, krótko po przyjeździe radiowozów, zjawiała się także Straż Przybrzeżna. Stałam wtedy na plaży i odpowiadałam na pytania. Obserwowałam, jak łódź powoli płynie po lodowatej wodzie. Nad moją głową nagle pojawił się pomarańczowy helikopter. Ogłuszający hałas śmigieł przypominał mi filmy o Wietnamie. Po kilku godzinach, późnym wieczorem łódź Straży Przybrzeżnej zniknęła. Ocean przyjął ciemnoniebieski odcień, niebo stało się jeszcze ciemniejsze, wiatr się nasilił, a mgła przesunęła się na wschód. Ziarenka piasku dostawały mi się do oczu i martwiłam się o Emmę. Miała na sobie lekki sweter, musiało jej być zimno na tym wietrze. Czy założyła skarpetki? Nie byłam pewna. Oby tak.

Nawet nie zauważyłam, kiedy przyjechał Jake. Pamiętam tylko, że bardzo długo nie było go przy mnie, a potem nagle się zjawił. Czerwono-niebieskie światła wozów policyjnych oświetlały ciemną plażę. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach spalenizny, jakby ktoś dogaszał ognisko. Kilku ociekających wodą surferów w czarnych kombinezonach dopłynęło do brzegu. Policjanci przesłuchiwali każdego z osobna. W końcu podszedł do

nas ktoś ze Straży Przybrzeżnej. Jego mundur wyglądał schludnie, choć przecież pracował cały dzień.

– Ściemnia się. Nie możemy teraz wiele zdziałać – powiedział. – Jutro z samego rana wznowimy poszukiwania.

– Jeśli Emma rzeczywiście gdzieś tam jest – spytał Jake – to jaka jest szansa, że ją znajdziecie?

Strażnik spojrzął w dół, stopą zaczął rysować wzory na piasku.

– Trudno powiedzieć. To zależy od prądu. Czasem ciało jest wyrzucane na brzeg, czasem nie.

– Emma panicznie boi się wody – powiedziałam, patrząc na Jake’a.

– Nie zbliżyłaby się do oceanu – potwierdził.

Sherburne zwrócił się w moją stronę. Wiatr targał żółtymi kartkami jego policyjnego notesu. Opowiadałam mu, jak zabrałam Emmę na przyjęcie urodzinowe nieznoszącej sprzeciwu dziewczynki o imieniu Melissa. Rozkrzyczane dzieci grały w berka w basenie w miasteczku Millbrae, a Emma siedziała po turecku na leżance i męczyła biedronkę, która wpadła do jej lodów.

– Emma nie chciała wejść do basenu – powiedziałam. Oczami wyobraźni wyraźnie widziałam siedzącą na leżance Emmę w niebieskim kostiumie kąpielowym. Co i raz spoglądała na basen, zbierała się w sobie, jakby chciała wejść do wody, ale się nie zdecydowała. W samochodzie, kiedy wracałyśmy do domu, zapytałam ją, czy dobrze się bawiła. Oparła swoje chude stopki na desce rozdzielczej i powiedziała:

– Nie lubię tej Melissy.

Sherburne spojrzął na mnie ze współczuciem, jakby to niczego nie dowodziło, ale po sposobie w jaki spuścił głowę i

położył dłoń na ramieniu Jake'a, pomyślałam, że chce mi wierzyć.

– To bardzo mądre dziecko – powiedziałam. Pragnęłam, żeby zrozumiał. – Gdybym myślała, że choćby zbliży się do wody, nie puściłabym jej ręki.

Jake obrócił się w stronę oceanu. Zdałam sobie sprawę, że rozważa taką możliwość. Że on – racjonalista do szpiku kości – bierze pod uwagę ten mało prawdopodobny, ale jednak możliwy scenariusz, że Emma mogła utonąć.

– Mam dwoje dzieci – powiedział Sherburne. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Teraz Jake wyłania się zza drzwi ze spuszczoną głową. Jego ramiona opadają, a gdy dotykam jednego z nich, kiedy się mijamy, Jake wyrывa się gwałtownie, jakby mój dotyk go zabolał. Spogląda na mnie podkrążonymi, czerwonymi oczami. Z widocznym wysiłkiem przesuwa dłoń w moim kierunku, chwytając moje palce, za chwilę jednak je puszcza.

– Jak mogłaś? – pytał zrozpaczony, kiedy mu o tym powiedziałam. – Boże, Abby, jak mogłaś?

Rozmawialiśmy przez telefon, musiałam zamówić międzymiastową z Eureką. Jego głos drżał. Płakał.

Teraz widzę na jego twarzy, ile kosztuje go niepowtarzanie z wściekłością tego pytania. A ja myślę: „Jak mogłam?”. Poczucie winy jest niczym fizyczny ból, niustający, mdlący ból.

Poligraf stoi w drzwiach, ręce opiera na biodrach. Uśmiecha się przyjaźnie, jakby znał mnie z widzenia.

– Norm Dubbes – przedstawia się i ściska moją dłoń. – Jest pani gotowa?

Pokój jest biały, bez wyrazu i jest w nim bardzo ciepło. Pod oknem stoi i furkocze piecyk gazowy. Czuć zapach słodkiej,

palonej kawy. Norm zamyka za sobą drzwi i każe mi usiąść, a potem podłącza mnie do wykrywacza kłamstw i prosi, żebym się wyprostowała. Reguluje wysokość krzesła tak, żeby moje stopy leżały płasko na podłodze.

– Proszę się rozluźnić. Zadam pani kilka pytań.

Na stole przed nim leży notes, obok stoi maszyna z igłą. Wcisną guzik i rozlega się cichy szum urządzenia. Igła zaczyna przesuwać się po papierze, rysując cztery niebieskie linie. Początkowo pytania są oczywiste:

Czy nazywa się pani Abigail Mason?

Czy urodziła się pani w Alabamie?

Czy ukończyła pani Uniwersytet Tennessee?

Czy pani aktualny adres to ulica Arkansas 420 w San Francisco w Kalifornii?

Norm zapisuje moje odpowiedzi w notesie, patrzy na ruch igły, robi notatki. Chwilę potem atmosfera zmienia się i zaczynają padać trudne pytania:

Czy ostatnio kłóciła się pani z Jake'em?

Czy ma pani dzieci?

Czy chciałaby pani je mieć?

Jakie były pani relacje z Emmą?

Czy relacje były wrogie?

Włosy Norma są czarne i lśniące, jeśli nie liczyć kilku szarych pasemek na skroniach. Na czole ma ciemne plamy. Pachnie jabłkami. Pewnie ufarbował włosy wczoraj wieczorem albo nawet dzisiaj rano. To już pół godziny, odkąd włączył wykrywacz kłamstw.

Czy kiedykolwiek karciała pani Emmę?

Czy wie pani, gdzie ona jest?

Czy miała pani jakikolwiek udział w zniknięciu Emmy?

Czy straciła pani panowanie nad sobą?

Czy utopiła pani Emmę?

Czy ją pani zabiła?

Przy ostatnich pytaniach załamuję się. Norm podaje mi chusteczkę i odłącza kable. Słodki, jabłkowy zapach jego szamponu staje się intensywniejszy.

– Emma uwielbia mus jabłkowy – mówię ni stąd, ni zowąd. Norm spogląda z nieobecny uśmiechem. Przypominam sobie fragment bezsensownej rymowanki, której uczyłam się w przedszkolu: *J jak jabłka, K jak klatka, M jak małpka...*

– To wszystko – mówi Norm. – Może pani odejść. To standardowa procedura. Musimy ją przeprowadzić – dodaje delikatniej.

– Wiem – odpowiadam.

N jak nie wiadomo gdzie.

Przed posterunkiem stoją reporterka z telewizji i operator kamery. Jake patrzy prosto w obiektyw i mówi do mikrofonu, który dziewczyna trzyma w ręce.

– Jeśli to ty zabrałeś mi Emmę, proszę, wypuść ją. Po prostu zostaw ją w jakimś miejscu, gdzie jest wielu ludzi. Nikt się nie dowie, kim jesteś.

Reporterka podsuwa mi mikrofon. Jej makijaż wygląda sztucznie, konturówka optycznie powiększa usta.

– Kim pani jest dla dziecka? – pyta.

– Narzeczoną jej ojca.

Wciska się między mnie a Jake'a.

– Nie odwołają państwo ślubu?

– Ja chcę tylko znaleźć córkę – mówi Jake.

Zasypuje Jake'a kolejnymi pytaniami, nie czekając na odpowiedzi.

– Jak pan się teraz czuje? Co się stało z matką Emmy? Czy podejrzewa pan kogoś?

Widzę, że ma nadzieję na jakąś chwytliwą wypowiedź, nagły przypływ łez, sugestię, że winę ponosi matka, a może Jake napomknie o dziwnym sąsiedzie czy szalonym wujku, cokolwiek, byle tylko wiadomość była ciekawsza.

Jake broni się spokojnie, wręcz profesjonalnie. Ani razu nie okazuje zniecierpliwienia, nie zaczyna płakać. Ten zawsze opanowany, krzepki Kalifornijczyk jest stworzony do takich kryzysowych sytuacji. Jego praprapradziadek przybył do San Francisco w 1849 roku w czasie gorączki złota, jego ojciec grał w drużynie futbolowej San Francisco 49ers i był świetnym zawodnikiem, właściwie bohaterem. Jego nazwisko do tej pory pojawia się w sportowych rubrykach gazet. Futbol był całym jego życiem. Zniszczył go alkohol. Zmarł w wieku czterdziestu kilku lat. Jake też grał w szkolnej drużynie futbolowej i był całkiem dobry, ale po śmierci ojca bez wahania zrezygnował. Do dziś jednak porusza się z zuchwałością typową dla futbolistów, a jego życzliwość i pewność siebie sprawiają, że ludzie szybko się do niego przekonują.

Patrzę na niego i wiem, że w telewizji będzie wyglądał świetnie. Widzom na pewno spodobają się jego rzeczowy ton, gęste, falujące, trochę potargane włosy, sposób, w jaki gryzie dolną wargę, kiedy się nad czymś zastanawia, a także jego dyskretne okulary, nadające mu wygląd intelektualisty. Jego chłopiące dołki w policzkach, to, jak zerka na swoje stopy, kiedy słyszy

komplement – to wszystko wzbudzi ich sympatię. Myślę o widowni, która ogląda i osądza, tak jak ja kiedyś, w lepszych czasach.

Wracamy do domu Jake’a na rogu Trzynastej i Lawton. Przed drzwiami czeka kolejny reporter. Jake zatrzymuje się i jeszcze raz prosi porywacza, żeby zostawił Emmę w bezpiecznym miejscu. Po wejściu do domu zaciągamy zasłony i stajemy naprzeciwko siebie, nic nie mówiąc i nie dotykając się. Stoimy tak z opuszczonymi rękami. Po całym pokoju porozrzucone są rzeczy Emmy. Na ławie leży własnoręcznie przez nią zrobiona różdżka, w koszyku przy schodach widzę rękawicę kuchenną szytą dla nauczycielki, a spod kanapy wystają jej czerwone kapcie.

Przytulam się do Jake’a i obejmuję go. Zawsze idealnie do siebie pasowaliśmy. Stawałam przy nim, moja głowa sięgała jego mostka, a on mnie obejmował. Czułam się bezpieczna w jego ramionach. Tym razem nie obejmuje mnie, tylko poklepuje parę razy po ramieniu, jak poklepałby znajomego na pogrzebie.

– Przepraszam – mówię. Jego dłoń opada.

– To nie twoja... – nie kończy. Nie może powiedzieć, że to nie moja wina, że wcale tak nie myśli, bo to jest moja wina i on tak właśnie myśli. Uwalnia się z mojego uścisku. Idzie na górę, do pokoju Emmy, i zamyka za sobą drzwi. Słyszę, jak kładzie się na łóżku i zaczyna płakać. Pościel Emmy jest żółta w białe kwiaty. Mała ma zwyczaj chowania swoich rzeczy pod poduszkami. Znajdowałam tam już przeróżne skarby: kredki, ubranka dla lalek czy nawet drobne pieniądze. Mija kilkanaście minut. Słyszę wreszcie, jak Jake wychodzi, idzie do łazienki i puszcza wodę.

Prezenterka telewizyjnych wiadomości podaje informację:

„Wczoraj na Ocean Beach w San Francisco zaginęła sześćioletnia wnuczka legendarnego gracza San Francisco 49ers, Jima Balfoura. Policja nie wyklucza z kręgu podejrzanych ojca

dziewczynki i jego narzeczonej. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się jednak, że oboje zostali poddani badaniu wykrywaczem kłamstw, z którego wynika, że nie mieli związku z zaginięciem. Trwają poszukiwania matki dziewczynki. Policja obawia się, że dziecko mogło utonąć”. Na ekranie pojawia się szkolne zdjęcie Emmy z zeszłego roku. Ma na nim nierówno przyciętą grzywkę, we włosach spinkę, a ubrana jest w niebieski sweter. Uśmiecha się szczerbato – akurat wtedy wypadł jej przedni ząb.

Pamiętam dzień, kiedy robiła sobie to zdjęcie. Pomagałam jej wybrać spinkę, a ona prosiła mnie, żebym ułożyła jej grzywkę. Wsunęłam palec między lokówkę a jej czoło, żeby się nie sparzyła, tak jak robiła to kiedyś moja mama. Emma szczebiotała o chłopcu imieniem Sam, który zatrzał szkolnego kanarka, a ja zdałam sobie wtedy sprawę, że zaczyna się do mnie przekonywać.

Prezenterka marszczy czoło w wyuczony sposób, a na jej brzoskwiowym makijażu pojawiają się bruzdy:

„Każdy, kto widział dziewczynkę, proszony jest o przekazanie informacji pod podany numer telefonu”.

Na ekranie pojawia się numer telefonu. Podnoszę słuchawkę i wybieram go. Dziewczyna, która odbiera telefon, ma może siedemnaście lat.

– Infolinia o zaginionych dzieciach – mówi radośnie. – W czym mogę pomóc?

Chcę ją prosić, żeby znalazła Emmę. Powiedzieć, że Emma uwielbia chipsy pomidorowe z solą i octem, że uczy się grać na wiolonczeli, że dostała szóstkę z testu z ortografii, że uczę ją obsługiwać aparat fotograficzny.

Słowa nie mogą mi przejść przez gardło. Milczę.

– Halo? – mówi. – Słucham? – powtarza zniecierpliwiona.
– Słucham? – Odkłada słuchawkę.

W pracy zawsze używam aparatu Leica R8. Łatwo nim manipulować, daje fotografowi największe możliwości regulacji zdjęć. Jednak od jakiegoś czasu mam wrażenie, że moim pracom czegoś brakuje – jakiejś nieokreślonej głębi.

Tamtego dnia na Ocean Beach chciałam wypróbować aparat bez dodatków, bez obiektywów, bez dokładnego ogniskowania, dlatego zdecydowałam się na aparat Holga. To najprostszy z aparatów z wizjerem optycznym, bez ogniskowania, jedynie z dwiema przysłonami.

Emma zaginęła wczoraj . Teraz jest środek nocy. Jake jej szuka. Kilkudziesięciu ochotników przeczesuje park Golden Gate. Mają zamiar przeszukać całą powierzchnię parku, ponad 400 hektarów – gęste lasy, olbrzymie boiska, ogrody botaniczne, stawy, place zabaw, nawet stadniny koni. Straż Parkowa porusza się konno pod wodzą kobiety, której na imię Bud. Rozpoznałam ją, bo spotkałiśmy się wiosną w stadninie Presido, kiedy urządziliśmy sobie jedną z naszych wspólnych wycieczek. Funkcjonariuszka Bud pokazała wtedy Emmie, co robić, żeby konie jadły marchew z ręki. Teraz mam wrażenie, że tamten dzień był bardzo dawno temu. Na wycieczce były też inne dzieci i ekscytacja Emmy wprawiała mnie w zakłopotanie. Przecisnęła się nawet ukradkiem do pierwszego rzędu. Ja jako dziecko nie byłam tak zuchwała, więc zastanawiałam się, trochę rozbawiona, a trochę zaniepokojona, w co za kilka lat przerodzi się ta przedwczesna zaradność Emmy.

Moje poszukiwania prowadzą do mojego mieszkania, do chłodnej, pachnącej chemikaliami ciemni. Wyjmuję rolkę z Holgi, wyciągam kliszę i delikatnie nawijam ją na szpulkę. Robiłam to setki razy, ale teraz trzęsą mi się ręce. Wkładam szpulkę z kliszą do puszki, odkręcam kurek i zaczynam naświetlać. Sprawdzam

temperaturę wywoływacza, wlewam inne roztwory i delikatnie kołyszę puszką. To samo robię z przerywaczem i utrwalaczem. Uważnie patrzę na zegar – nie chcę się pomylić – wywołuję najważniejsze zdjęcia w moim życiu. W końcu zdejmuję pokrywę z puszki, zwilżam szpulkę wodą. Rozwijam kliszę i zawieszam do wyschnięcia.

O trzeciej w nocy rozcinam negatywy. Wsuwam je po kolei do powiększalnika, kładę pod nim papier fotograficzny i zaczynam wywoływać zdjęcia, na każde przeznaczając cztery sekundy. Polewam wywoływaczem, przerywaczem i utrwalaczem. Na koniec wkładam odbitki do wody.

Chociaż każde zdjęcie trafnie przedstawia pojedyncze chwile, to razem nie składają się w pełną historię. Jedno z nich to zbliżenie uśmiechniętej szeroko Emmy, której zabrudzona mąką twarz znajduje się centymetry od obiektywu. Robiła tego ranka naleśniki. Na drugim jest już dalej, widać jej zasłonięty włosami profil, kiedy pochyla się nad jeżowcem. Na jeszcze innym stoi plecami do aparatu. Jej sylwetka jest rozmazana. To tajemnicze, ale sympatyczne zdjęcie, można by je powiesić w galerii czy w salonie. Widać na nim czarne włosy dziecka, a nad olbrzymią plażą unosi się mgła.

Ale zdjęcia nie pokazują najważniejszego. Nie pokazują prawdy, nie udzielają odpowiedzi. Po raz kolejny przyglądam się im przez lupę. Szukam tajemniczej postaci ukrytej gdzieś w cieniu. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Z uporem szukam poszlak, ukrytego sensu, czegoś oczywistego, co wcześniej mi umknęło. Szukam, aż obraz rozmazuje mi się przed oczami. Nie chcę wierzyć, że nie mam czego szukać. Jest siódma rano. Wychodzę z ciemni bardzo zawiedziona.

Kiedy moja mama mawiała, że nie ma problemu, którego by nie można rozwiązać, zawsze w to wierzyłam. Teraz jej słowa tracą znaczenie, stają się niemożliwą do spełnienia bajką dla

grzecznych dzieci. Wiem jedno. Jest pewna dziewczynka, na imię jej Emma, spacerowałam z nią po plaży. Była przy mnie i nagle zniknęła. Nie jestem w stanie przypomnieć sobie chwili, kiedy zniknęła, odtworzyć tego, co się stało. Nie mogę cofnąć czasu.

Nikt nie odbiera telefonu. Widzę siebie jakby z daleka. Ściskam słuchawkę w lewej dłoni. Na serdecznym palcu mam zaręczynowy pierścionek ze szmaragdem. To nie może być prawda, to nie mogło przydarzyć się właśnie mnie. W końcu ktoś odbiera. Słyszę wysoki, nienaturalny, męski głos.

– Policja – mówi. – Czy coś się stało?

– Zaginęła dziewczynka. – Mój głos drży.

– Kiedy zauważyła pani, że jej nie ma?

– Trzydzieści pięć minut temu. – Patrzą na zegarek z niedowierzaniem. Trzydzieści pięć minut? Co może przydarzyć się dziecku w ciągu pół godziny?

– Gdzie widziała ją pani po raz ostatni?

– Na Ocean Beach. Szukałam na parkingu, ale tam jej nie było.

– Proszę zachować spokój – mówi. Ale nie mogę zachować spokoju. „Zachować spokój” to znaczy odpoczywać, czekać.

– Gdzie pani teraz jest?

– W restauracji na plaży.

– Proszę mówić głośniej, nie słyszę pani.

– W restauracji na plaży – mówię tak głośno, że aż mnie to przeraża.

Ludzie w restauracji zwracają na mnie uwagę. Mężczyzna w fartuchu układający srebrne sztucce na serwecie, wytatuowana para dzieląca się omletem i grupa licealistów z Niemiec – wszyscy podnoszą głowy. Podchodzi do mnie kelnerka. Mówi z silnym rosyjskim akcentem. Przedwczesne macierzyństwo wyraźnie odbiło

się na jej wyglądzie. Kobieta niespokojnie porusza rękami.

– Czy ta dziewczynka to pani córka? – pyta mężczyzna, z którym rozmawiam.

– Nie, mojego narzeczonego.

– Ile ma lat?

– Ponad sześć. – Znowu zaczynam krzyczeć. – Proszę, niech pan kogoś tu wyśle. Kiedy pan kogoś wyśle?

– Proszę się uspokoić. Właśnie wzywam wóz patrolowy.

– Kiedy tu dotrze?

– Za pięć minut. Proszę zostać na miejscu i czekać na policję. – Jego głos brzmi spokojnie, pewnie. Porządek, z jakim odbywa się cała ta procedura, trochę poprawia mi samopoczucie. Wyobrażam sobie, jak wezwanie przez eter dociera do grupy dobrze wyszkolonych policjantów. Za chwilę wsiądą do radiowozu i popędzą w kierunku Ocean Beach, a chwilę później na pewno znajdą Emmę.

– Przyniosę pani kawy – mówi Rosjanka i znika w kuchni.

Mężczyzna od sztucców podchodzi i kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Jak jej na imię?

– Emma. Emma Balfour.

– Poszukam w parku. – Zdejmuje fartuch i rzuca go na ladę.

Walczę z wizją, w której Emmę, gdzieś za drzewami, na skalistej ścieżce, przetrzymuje jakiś nieznajomy. Patrzę na zegarek. To już trzydzieści dziewięć minut. Emma może być wszędzie. Wytatuowana para z zapalem zjada ostatnie kawałki omletu.

– Czy możemy jakoś pomóc? – pyta dziewczyna, zakładając kurkę.

– Nie wiem – odpowiadam. – Nic nie przychodzi mi do głowy.

– Moglibyśmy spisać numery rejestracyjne samochodów na parkingu – mówi chłopak. Jest gorliwy, niemal podekscytowany, jakby cała sytuacja była filmem z nim w roli głównej.

– Weźcie mój aparat. – Podaję im swoją Holgę. – Zostało tylko pięć klatek.

– Oddamy, jak skończymy – mówi dziewczyna. Kładzie na ladzie dwudziestodolarówkę i razem z chłopakiem idą na parking. Licealiści z Niemiec patrzą znad kart i szepczą między sobą. Myślą chyba, że to część programu rozrywkowego ich wycieczki, specjalnie dla nich zainscenizowana.

Rosjanka wraca, w rękach trzyma kubek kawy ze śmietanką, cukrem i łyżeczką.

– Pani córka – mówi – znajdziemy pani córkę.

Znowu podnoszę słuchawkę. Tym razem wybieram numer komórki Jake'a, mając nadzieję, że nie odbierze. Zadzwoiłabym wtedy do niego później, już po odnalezieniu Emmy. Chcę wierzyć, że za kilka chwil znajdzie się, że bawi się ze mną w chowanego, że poszła do łazienki, zgubiła się na plaży i szuka parkingu, że zaraz wszystko wróci do normalności. Pewnie czeka już na mnie przy samochodzie. Na pewno. Powinam zostać na parkingu i zaczekać na nią.

Jake ciągle nie odbiera, a ja wiem, że kiedy mu powiem, koszmar stanie się rzeczywistością. W końcu słyszę jego głos.

– Abby?

Dobiegają mnie odgłosy tego, co tam się dzieje. Tłum hałasuje, spikerzy komentują wydarzenia na boisku. Brakuje mi słów.

*W gęstej mgle?
W falach Pacyfiku?
Na parkingu?
W ciężarówce nieznanego?
Gdzie zniknąłś?*

Abigail i Jake wkrótce zamierzają się pobrać. Abigail jest młodą fotografką, która po tragicznej śmierci partnera układa sobie życie na nowo. Jake rozstał się z żoną. Samotnie wychowuje sześcioletnią córeczkę Emmę. Pewnego dnia Abigail wybiera się z dziewczynką na plażę. Kiedy robi zdjęcia, traci ją z oczu na kilkanaście sekund. Kilkanaście sekund, które zmieni się w najgorszy rok jej życia...

**CO BYŁABYŚ W STANIE ZROBIĆ,
BY ODNALEZĆ UKOCHANE DZIECKO?**

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-7515-540-2



9 788375 155402

Cena detal. 39,90 zł


WYDAWNICTWO
OTWARTE